



TYGODNIK ILUSTROWANY DLA DZIECI.

Z WYSPY ATLANTY

Wyczytała przez drobnowidz i przepisała

Zofia Urbanowska.

(c. d.)

Janek sierota do Redakcyi Wieczorów rodzinnych.

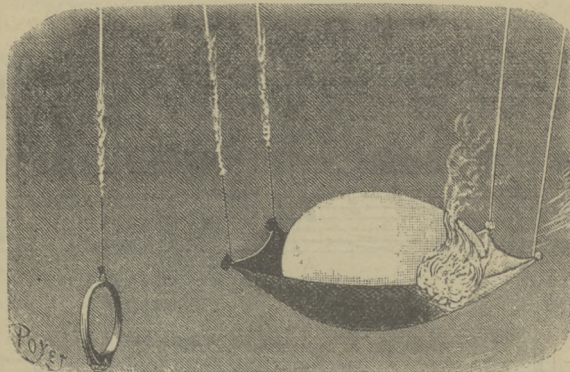
Koralowy gród dn. 7 Września.

Szanowna Redakcyo!

Ach, jaki ja dzień przeżyłem! Choćbym żył lat sto, nie zdołam go zapomnieć. Ale muszę zacząć opowiadanie od początku: król Bożydar przyjechał! Spełniło się znowu jedno proroctwo Syenity: „Czeka was wielka radość. Przybędzie na Atlantę gość sercu waszemu bardzo drogi i blizki, i będzie z tego powodu na wyspie wielka uroczystość”.

Przed dwoma dniami otrzymano depezę zwiastującą tę radosną nowinę i wnet wszyscy trzej królewicze i cała niemal ludność wyspy, zajęli się przygotowaniem do przyjęcia. Odkąd tu jestem, nie pamiętam takiego ruchu, takiej wrzawy, takiego gorączkowego życia. Dworzanie, wojsko i urzędnicy, biegali bez tchu niemal, a królewicze pomagali im jak zwykli śmiertelnicy. Wszyscy mieli tyle roboty że zaledwie mogli wydostać, a paziowie o mało nóg nie potracili roznosząc rozkazy na wszystkie strony. W obec tego nie mogłem myśleć nawet o spełnieniu życzenia cudzoziemca, wyrażonego w kartce którą znalazłem po balu maskowym, w bukietcie z zieleń czarownic.

O trzęsieniu ziemi sygnalizowanem przez seismograf, zapomnieli wszyscy prócz lorda Schockinga, który z godną podziwienia wytrwałością, miał ciągle w pogotowiu zegarek i notatnik, choć na twarzy jego coraz wydatniej rysował się wyraz rozczarowania. I nietylko wyspa nasza, ale dalekie krańce świata wiedziały o wielkim gościu mającym przybyć na Atlantę, bo przez cały dzień zawijały do portu statki wiozące nadzwyczajnych posłów, dla powitania tego monarchy w imieniu swoich rządów, spełniając bezwiednie dalsze słowa proroctwa Syenity: „I przybędą do was wysłańcy różnych narodów, a największą naukę dla was i dla całego świata przyniesie...” Ale po co mam dalsze słowa proroctwa cytować, kiedy czytelnicy Wieczorów w pewnie je pamiętają. Mar-



Doświadczenie fizyczne.

Wymoczcie nitkę w mocno słonej wodzie, wysuszczone ją i powtórzcie tę operację kilka razy z rzędu. Przygotowawszy w tajemnicy w powyższy sposób nitkę, możecie ją każdemu pokazać, gdyż nie będzie się różniła w niczem od zwyczajnej. Weźcie potem najbliższy jaki macie pierścionek, uwiążcie go na takiej nitce, zbliżcie do niej płonącą zapalną. Nitka spali się, lecz pierścionek, ku wielkiemu zdziwieniu widzów, będzie się trzymał na popiele. Nitka zgorzała, to prawda; pozostała jednak rurka z niepalnej soli, która jest dość mocną, żeby utrzymać w spokojnem powietrzu pierścionek.

Doświadczenie to możecie zmienić jak następuje:

Przywiążcie do każdego rogu czworobocznego kawałka musliu po nitce, wymoczcie wszystko razem w słonej wodzie i wysuszczone starannie; operację powtórzcie trzeba jak i przedtem, trzy albo cztery razy. Otrzymałszy spreparowany jak wyżej zalecono hamak, zawieście go i do środka włóżcie skorupkę od jajka, jak na rysunku. Niech hamak spłonie, jeżeli go podpalicie, jajko jednak będzie wisiało na popiele, co wprawi w zdumienie obecnych a nieświadomych.

szalek nasz dworu niemały miał kłopot, z pomieszczeniem tych których ugościć należało. Staruszek cały dzień był na nogach i nie usiadł ani na chwilę, a nikt go wyręczyć nie mógł w tak ważnej czynności. Tak samo i kapelmistrz zajęty układaniem powitalnej pieśni a raczej muzyki do słów Ortodoxusa. Chciał on koniecznie wymyślić coś nowego, coś oryginalnego, różniącego się od używanych dotąd w podobnych okolicznościach atlantyjskich pieśni, tak w rytmie wiersza, jak w melodyi, coś coby tęgło prostotą — bo podobno Bożydar proste choć wspaniałe miał serce — i wesołością nadające się do odmalowania radości z przybycia gościa. Słyszał mnie on nieraz śpiewającego nasze wiejskie piosenki, a krakowiaki zwłaszcza bardzo mu się podobały. Prosił mnie teraz żebym mu je zaśpiewał, i gdy uczyniłem zadość jego woli, aż zatarł ręce z radości, mówiąc że to jest właśnie czego mu było potrzeba.

Wczoraj z rana ponad wygasłym kraterem Plutona ukazał się lekki dymek, ale nikt na niego nie zważał — bo jednocześnie z latarni morskiej dano sygnał, że statek ukazał się na widnokręgu — nikt prócz lorda Schockinga, który zapisał to

zaraz w notatniku, licząc skwapliwie minuty i sekundy. Zresztą dymek taki pokazywał się od czasu do czasu, a nikt się tem nie przestraszał. Królewicze oczekujący tylko umówionego znaku, wyjechali na spotkanie ojca; na czele swoich flot i około południa nareszcie przybył gość upragniony, na statku którego przód rzeźbiony w kształt lecącego sokoła, przywodził na myśl dzieje starożytnej Grecji i pieśni Homera. Król Bożydar wylądował w zatoce Koralewego grodu, jako najobrzeczniejszej ze wszystkich, wśród huku dział i zagłuszających je radosnych okrzyków zgromadzonego na wybrzeżu ludu. Gdy wstępował na ziemię atlantyjską, odezwał się chór złożony ze śpiewaków wszystkich trzech dworów. Dzięki uprzejmości kapelmistrza, dostałem odpis wierszy i muzyki do której przyczyniłem się także trochę i posyłam je dla czytelników Wieczorów w rodzinnych. Przełożyłem je jak umiałem z atlantyjskiego języka, ale widzę że przekład ani w połowie nie dorównywa oryginałowi. Słyszałem później od kapelmistrza, że muzyka podobała się bardzo i zyskała najwyższą pochwałę.

Maestoso.

Allegretto moderato.

Wi - taj Wi - taj *ff* Wi - taj! Fine Wi - taj w pię-knej tej krai - nie

legg.

Gdzie-szczę-śli - wy miesz - ka lud, Gdzie od wie-ków z enót swych sły-nie Bo - ży da - rów wie - lki ród Gdzie od wie-ków

Tempo giusto.

z enót swych sły-nie Bo - ży da - rów wie - lki - ród. *Maestoso da Capo al Fine* Trzy pań-stwa przy - ro - dy ra - du - ją się

spo - lem, że przed swym mo - na - rchą u - de - rzą dziś czo - lem. Że - czo - lem u de - rzą i o - to - czą

w o - kół Go - ścia co dziś do - nich przy - le - ciał jak so - kół so - kół. *Seque Maestoso, al Fine.*

1-mo 2-do

Podczas gdy chóry śpiewały, Bożydar wstępował powoli po stopniach kamiennych na wybrzeż, pozdrawiając skinieniem ręki tłumy chylące się przed nim na prawo i na lewo, jak kłosa zboża kołyszące się od wiatru. Stojąc w gronie posłów — bo kazano mi na dzisiejszą uroczystść odrzucić moje incognito — patrzyłem z uwielbieniem i podziwem na wspaniałą postać króla rycerza, przenoszącego wzrostem wszystkich mężczyzn jakich w życiu mojem widziałem. Odziany był w płaszcz szkarłatny, haftowany w złote gwiazdy, z pod którego biała wyglądała szata, a na głowie miał hełm złocisty uwieńczony koroną; ale największą jego ozdobą była długa, spadająca do pasa broda, biała jak śnieg, rozwiewająca się teraz od wiatru, tak zupełnie jak na posągu tego króla u wejścia do ogrodów wiszących w Różanym gaju. Twarz piękna, miała rysy wydatne i charakterystyczne: nos rzymski z mocno rozwiniętymi nozdrzami, czoło wypukłe, brwi gęste, łukowate z pod których wyglądały oczy ciemne, głęboko osadzone i patrzące z pod lekko przymrużonych powiek tak daleko, tak daleko, iż zdawało się że nic bystrości jego wzroku prześcignąć nie zdoła — tak daleko, jak gdyby nietylko chwilę obecną, ale wieki przyszłe widział przed sobą. Artysta, który dla uzmysłowania „fantazyi” użył rysów tego monarchy, dobremiśnatchnienie, bo była to twarz niecodzienna, twarz patryarchy, mędrca i proroka. Majestat w niej kojarzył się z dobrocią, a usta miały wyraz takięj słodczy, jak gdyby częściej z nich wypływały słowa przebaczenia i pociechy, niż surowości i potępienia. Wiek jego trudno było określić, bo choć broda dawała mu pozór stuletniego starca, trzymał się prosto a stąpał krzepko i raźnie jak młodzieniec. Gdy stanął na najwyższym stopniu gdzie, oczekiwały na niego wszystkie trzy synowe z wnukami i córka, wystąpił Abrakadabrus i powitał gościa następującą przemową.

— Najjaśniejszy panie, chóry powitały cię pieśnią w imieniu trzech królestw przyrody, nad którymi troskliwą rozciągasz opiekę; pozwól abym cię powitał w imieniu krajowców zamieszkujących tę wyspę. Wiedzą oni że twoja sława rozbrzmiewa szeroko, że twoja mądrość znana jest na dalekich krańcach świata, że twoja potęga i twoje bogactwa są niezmiernie; ale wiedzą także i mieli sposobność doświadczyć, że większą nad to wszystko jest twoja dobroć i ludzkość. Wielkość królów prawdziwa, mierzy się siłą miłości ich poddanych. Jesteś królu bardzo potężny, boś bardzo kochany. Lud wita w tobie nietylko monarchę, ale ojca i opiekuna!

Tu rozległy się pełne zapału okrzyki:

— Niech żyje wielki Bożydar! Niech ród jego króluje nam długie wieki!

Bożydar uściśnął dłoń Abrakadabrusa i odrzekł z uśmiechem.

— Jeżeli wielkość królów mierzy się miłością ich ludów, to mądrość ich mierzyć się powinna wyborem doradców i przyjaciół. Szczęśliwym był przyjaciel mój, król Dobromir, że mógł cię mistrzu mieć długie lata przy swym boku, i powierzyć ci wychowanie swych córek. Szczęśliwi są moi synowie, że mogą cię nazywać swym domownikiem. Proszę cię mistrzu, uczyni mi kiedy ten zaszczyt i przybądź do mnie w gościnę.

I ująwszy mistrza pod ramię, szedł dalej z nim razem, a lud dokoła szeptał:

— Patrzcie jak wielki Bożydar szanuje mędrców: stawia ich na równi z sobą!

Cały orszak udał się do pałacu królewicza Pióropuszka, gdzie podano obiad, ale zaledwie dziesiąta część gości pomieściła się w salach Koralowego grodu; dla pozostałych zastawiono stoły na dziedzińcu. Przed obiadem królewicze przedstawiali ojcu ciała dyplomatyczne. Byłem najpewniejszy że takiego jak ja dyplomaty, nikt nie bierze na seryo, więc usunąłem się na bok, ale dobry Zielonko wezwał mnie abym się przybliżył, opowiedział królowi kto jestem i z kąd przybyłem. Król spojrział na mnie życzliwie i rzekł do syna:

— Choćbyś mi tego nie nadmieniał, domyśliłbym się po smętnej twarzyczce tego chłopca, że jest z kraju w którym młodzież przedwczesną odznacza się dojrzałością, mało zazna-

jąc uciech młodzieńczych, a starcy noszą do grobu ideały ożywiające młodzież. Bóg z tobą chłopcze i z twoimi.

Wzruszyły mnie te proste wyrazy i gdy usuwałem się na stronę, aby z kolei ustąpić miejsca margrabiemu Si-ano y Si-ecz-ka, lord Schocking który słyszał słowa Bożydara, wyraził zdziwienie że król ma jednak wiadomości o kraju, o którym Bedecker nie wspomina. Zauważyłem że wiara jego w nieomylność tego doskonałego przewodnika, zachwiała się.

Rodzina królewska obiadowała przy oddzielnym stole, mając w swem gronie Abrakadabrusa; ja siedziałem przy stole posłów w tej samej sali, w której zajmować miejsce było wprawdzie bardzo zaszczytnie, ale cokolwiek nudno, bo brakowało mi mych codziennych towarzyszy, Violi, Albatrosa, Orchisa — i napróżno się za nimi oglądałem. Pod koniec obiadu jednak przyjaciel mój przedarł się do mnie i szepnął mi na ucho:

— Ciesz się Janku, będziemy mieli niezadługo wspaniałe widowisko!

— Widowisko? jakież?

— Pochód trzech królestw przyrody przed Bożydarem.

— Słyszałem o tym pochodzie, ale nie potrafię go sobie wyobrazić: pojmuję że mogą w nim wziąć udział zwierzęta, bo mają nogi, ale jakże minerały i rośliny maszerować będą?

— Zobaczysz — odrzekł uśmiechając się z miną tajemniczą. — Bożydar jest zwierzchnim władcą Atlanty, a synowie są tylko jego namiestnikami. W pochodzie tym wszystkie królestwa hołd mu mają złożyć.

— Gdzie się to odbędzie?

— U stóp wzgórza kapłanów. Na wzgórzu, pod olbrzymim starym bukiem, na kamieniu ofiarnym zasiądzie Bożydar.

— Co to za wzgórze kapłanów?

— Tak nazywa się miejsce gdzie stała niegdyś starożytna pogańska świątynia, a kapłani atlantyjscy składali bogom ofiary.

Czekałem niecierpliwie końca obiadu, ciekawy zapowiedzianego widowiska. Wzgórze kapłanów znajduje się niedaleko brzegu morza, wznosi się dwieście stóp nad jego poziom i spuszcza się łagodnym spadkiem ku równinie, od której oddzielone jest zagłębieniem mającym wszelkie ślady wyschłego łożyska rzeki, która kiedyś wpadała do morza. Stare podania mówią, że był tu kiedyś kanał zbudowany sztucznie, rodzaj fossy otaczającej dokoła świątynię. Wzgórze pokrywa gaj z ciemnych jodeł, dębów, buków, a ponad niemi króluje jeden olbrzymi, którego pień jest tak gruby, a konary rozciągają się tak szeroko, że mogłoby śmiało pod niemi, jak mówi w „Panu Tadeuszu” Mickiewicz: „stu młodzieńców, sto dziewiczek iść w taniec parami...”

Pod tym bukiem na kamieniu ofiarnym, ustawiono tron dla Bożydara i tu zatknięto jego sztandar błękitny, złotemi posiany gwiazdami. Patrząc nań, myślałem sobie jak się tu dziwnie allegorya mieszała z prawdą. Ten którego artysta wyobraził jako króla Fantazyi i Wyobraźni, miał herb bardzo właściwy tym krainom. Któż bowiem na skrzydłach fantazyi się unosząc, nie goni myślą gwiazd złotych po niebie! Po bokach tronu stały krzesła z poręczami dla królewiczów i ich rodzin, oraz dla Abrakadabrusa, a dalej pobudowano łoże dla dam, wysokich dygnitarzy i posłów. Lud zaległ równinę rozciągającą się poza wyschłym łożyskiem rzeki — i ze wzgórza widać było tysiące głów, niby olbrzymie mrowisko. Droga wiodąca z pałacu Pióropuszka na wzgórze kapłanów, odznaczona była słupami przyozdobionymi barwnymi chorągiewkami i jedliną, a trzy gwardye trzech królewiczów tworzyły po obu stronach szpaler. Ustawiono na nięj trzy bramy: jedna była z minerałów i ta kształtem przypominała grotę — druga z roślin, trzecia z produktów zwierzęcych, to jest draperyi jedwabnych i wełnianych zakończonych u góry wspaniałemi pióropuszkami. Miałem wyborne miejsce w trybunie posłów, znajdującej się niedaleko tronu, mogłem więc doskonale widzieć wszystko, a nawet rozmawiać z mymi przyjaciółmi, paziami. Najbliżej łoży naszję stał Az-

best paż Kryształka. Zawołałem na niego i spytałem jaki pochod zacznie się najprzód.

— Naturalnie że minerałów — odpowiedział.

— Dla czego minerały mają mieć pierwszeństwo przed innymi państwami przyrody, czy dla tego że Kryształek jest najstarszy?

— Nie, ale że w porządku świata najprzód powstały minerały, potem rośliny, a na ostatku dopiero zwierzęta.

Gdy wszyscy zajęli miejsca, przybył z synami i orszakiem, przy odgłosie trąb król Bożydar i zasiadł na tronie. Zaraz też wyjechał na plac na białym koniu herold w świet-

wydają dźwięku, nie są sprężyste, czem się od innych grup mineralogicznych różnią.

To wyrzekłszy usunął się nieco na stronę, a ja ujrzałem siedm powiewających zdaleka sztandarów trzymanyh przez jeźdźców i długi szereg wozów, ciągnionych przez konie bogato przystrojone w mineralne ozdoby. Na sztandarach były złotem wyszyte nazwy grup i cyfry kolejne, a przy wozach metalowe tabliczki z napisami, co się na którym znajdowało. Po obu stronach wozów szli górnicy z kilofami i oskardami w rękach. Na dany przez Kryształka znak, wozy ruszyły i zabrzmiał śpiew.



N I E K Ł A Ń.

nym stroju błyszczącą naszytym mika, skłonił się głęboko przed królem i wygłosił, że z woli Jego Królewiczowskiej mości i z pozwoleniem Najjaśniejszego Bożydara, odbędzie się pochod minerałów; że będzie siedm grup: Kamienie i ziemie, wapienie, sole, metale, ciała palne, woda i ciała lotne. Najprzód wystąpi grupa pierwsza, kamienie i ziemie.

I jak na turniejach średniowiecznych heroldowie, przed rozpoczęciem walki wygłaszali tytuły i przymioty rycerskich zapaśników, tak herold Kryształka wygłaszał cechy mających się popisać przed królem w tej grupie minerałów.

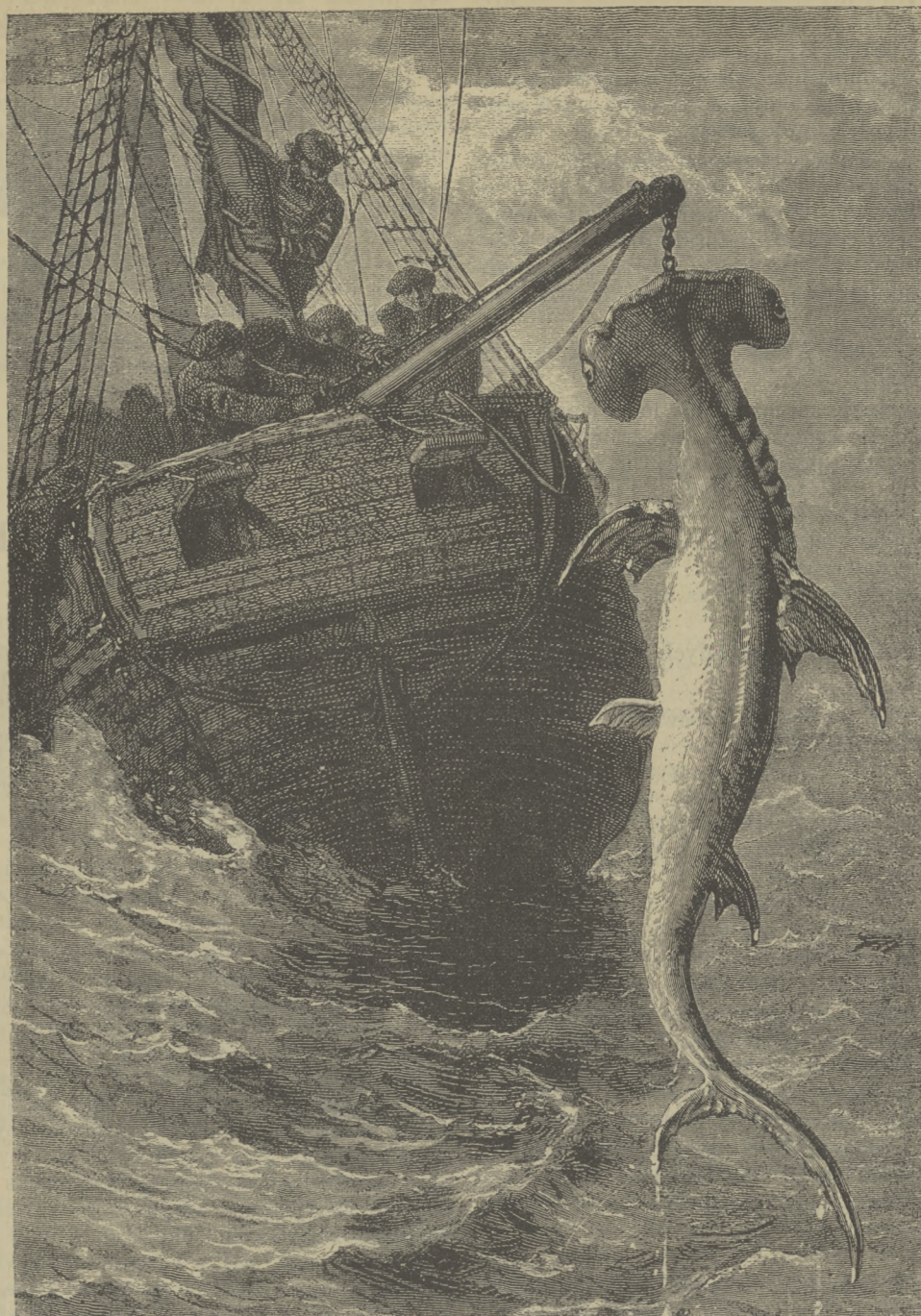
— Szlachetne te minerały znajdujące się w pierwszej grupie, są ciałami stałymi, co znaczy że nie są ani ciekłe, ani lotne. Nie mają ani smaku ani zapachu. Woda ich nie zdoła rozpuścić, ani ogień nie potrafi spalić. Są złemi przewodnikami ciepła. Nie mają potysku metalicznego ani nie

CHÓR KRYSZTAŁKA. *)

Witaj, witaj, witaj!
Pieśniarze o tobie w świecie rozśpiewali,
Ze serce twe królu hart posiada stali,
A dusza twa czystość przejrzystą kryształów.
Bądź pozdrowion panie, w kraju minerałów!
Witaj, witaj, witaj!

Melodya była ta sama co przy wylądowaniu Bożydara, a gdy pieśń ucichła, orkiestra przemieniła ją w rytm marsza, przy dźwiękach którego odbywał się cały pochod. Sztandary

*) Wyrazy: Witaj, witaj, witaj śpiewano podług ustępu muzyki, oznaczonego *Maestoso*. Następne cztery wiersze podług ustępu *Tempo giusto*,



RYBA MŁOT.

przejeżdżając przed królem pochylały się do połowy, a wozy posuwały się zwolna — mógłem więc dokładnie widzieć co na nich wieziono i czytać napisy.

Najprzód jechały dobrze mi znane *granity*, różowe białe i szare — znane mówię, bo któż ich nie spotyka przy drogach i na polach! Dalej *gneis* będący tegoż składu co i granit, tylko różniący się ułożeniem składowych części to jest szpatu polnego, kwarcu i miki w warstwy; *porfir*, piękny czerwony kamień, biało nakrapiany, z którego widywałem pomniki; *szpat polny* znajdujący się w granicie, przez co nadaje mu piękny różowy kolor; błyszcząca *mika*, także wchodząca w skład granitu, niegdyś używana na szyby zamiast szkła;

*hornblend*a ciemny błyszczący kamień, spotykany obok granitu w polnych kamieniach; *azbest*, ów jedwab mineralny, połyskujący szaro-srebrnymi włóknami. Dalej wóz z *kwarcem* za którym szły różne kwarcu odmiany; a więc krzemienie, agaty, opale, kryształy górne, ametysty — bo wszystkie te drogie kamienie są niczem innym tylko kwarcem, rozmaicie zabarwionym. Dalej wieziono *talk*, biały z tłustym połyskiem minerał, tak miękki że można na nim jak na wosku paznokciem rysować; *grafit* z którym zna się każde dziecko, bo daje materiał na ołówki — wreszcie *dyamenty* na niewielkim ażurowym wózku ze srebra, mającym kształt korony. Z wozu tego taki bił blask, jakby wieziono słońce w orszaku tęcz siedmiobarwnych.

Poza dyamentami toczył się wóz naładowany *piaskiem*; za nim wielkie bryły *piaskowca*, kamienia używanego na grobowce; różne *gliny*: garncarska, porcelanowa, ogniotrwała, wreszcie *łupek szyfrowy*, na którego tabliczkach uczyłem się kiedyś pisać.

Wozów wiozących kamienie i ziemie było daleko więcej, niż ich tu wymieniłem; wspomniałem zaledwie najwybitniejsze, takie które będąc znanymi czytelnikom *Wieczorów* rodzinnym, mogą ich więcej zainteresować.

— Wydziwić się nie mogę — rzekłem dotykając ramienia Azbesta — że tak niepodobne do siebie rzeczy, widzę tu postępujące w jednym szeregu. Że dyamenty, opale i ametysty, znajdują się obok siebie, to rzecz naturalna; ale żeby przy nich stawiać w braterstwie glinę z której się robią garnki, i granity któremi się brukuje ulice, to już doprawdy za bardzo odskakuje jedno od drugiego.

— Mylisz się — odrzekł Azbest — wszystkie kamienie i ziemie mają wspólne cechy.

— Że nie są „ani ciekłe ani lotne, nie mają smaku ani zapachu” — powtórzyłem ze śmiechem słowa herolda. — Też nowinę powiedział! Nikomu przecież nie przyszłoby do głowy posądzać je o co innego. Że też to ludzie i na to nawet zwracają uwagę! Nie jestże poprostu śmiesznem zaznaczyć to właśnie, co nie ulega żadnej wątpliwości? Ale widzę że trzeba zastanawiać się nad wszystkim... Powiedz mi dla czego kamienie poszły naprzód, a ziemie za nimi, kiedy mogło być odwrotnie?

— Bo ziemie powstały ze zwięzłych kamieni z których się skały składają.

Herold wyjechał znów na środek i zapowiedział że teraz przedstawi się druga grupa, **wapniowce**:

— Szlachetne te ciała — mówił uroczystym głosem — tem się odznaczają, że wszystkie w czystym stanie są zwykle barwy białej, nieprzezroczystej; że nie mają sprężystości, nie dają się kuć, nie mają smaku ani zapachu i nie rozpuszczają się w wodzie; że wszystkie zawierają wapno, a z wyjątkiem gipsu i kwas węglany; że na te dwa ciała, to jest na wapno i kwas węglany rozkładają się w ogniu, albo gdy są oblane kwasem; że są zlewni przewodnikami ciepła. tworzą w ziemi wielkie pokłady, lub na jej powierzchni góry i płaskowzgórza.

Ujrzałem teraz: wielkie bryły *kredy*, *marmury* przepyszne czerwone, czarne, szare, żółte, zielonkawe, różowe, wszystkie mniej lub więcej żyłkowane; *kamień litograficzny*, *gipsy* w kryształach, piękne *alabastry* i *sapat islandzki*, bezbarwny i przezroczysty jak szkło, tem osobliwy, jak mnie objaśnił Azbest, że podwójnie łamie światło. Każdy przedmiot widziany przez niego, przedstawia się w podwójnej liczbie.

— Czy zamiast jednej pokazuje dwie twarze? — spytałem.

— A tak.

— To ja gdybym był królem, a miał z kim prowadzić wojnę, kazałbym narobić z tego szpatu tysiące okularów, i posłałbym przed bitwą w darze wodzowi nieprzyjacielskiemu.

— A to po co?

— Bo liczba moich wojsk wydałaby mu się dwa razy większą.

— Oj, ty wielki strategiku. Wódz nieprzyjacielski spojrzawszy przez te okulary na swoje własne szeregi, ujrzałby je także w dwakroć większej liczbie i nie uląkłby się twojej powagi.

— Słuszna uwaga! — pomyślałem sobie.

(d. c. n.)

NIEKŁAŃ.

Wśród uzdrowisk krajowych o których wzmiankę podawaliśmy w *Wieczorach*, najmłodszym, bo zaledwie kilka miesięcy życia liczącym, jest *Niekläń*; warunki wszakże klimatyczne

i wszelkie inne rokować mu się zdają najpomyślniejszą przyszłość. Niekläń leży, nad rzeką *Kamionką* w pobliżu dużych jezior, u stoku gór *Świętokrzyskich*, na 1000 stóp wyniesiony nad poziom morza, obok stacyi kolei tegoż nazwiska, o pięć godzin drogi od *Warszawy*, a cztery od *Radomia* i *Piotrkowa*. Ogromne lasy osłaniające go od północy i wschodu, sprawiają, że nawet w jesieni klimat jest tu łagodny, grunt zaś *piaskowy* zwykle nader suchy, ma więc wszystkie warunki wymagalne dla zakładu *wodoleczniczego*, który tu założył obecnie dr. *Misiewicz*, wydzierzawiwszy znaczną przestrzeń szpilkowego lasu i zakupiwszy kilka morgów gruntu pod budynki od właściciela miejscowości, hr. *Platera*, który w celach przemysłowych wydobywa także w *Niekläniu* rudę żelazną. Obok *wodoleczniczego* jest tu jeszcze zakład *dyeteetyczny*, *gimnastyka lecznicza*, *masaż* i *elektryzacja*, kąpiele *borowinowe*, *żelaziste*, *igliwowe* i *solankowe*, można też używać wód *mineralnych* różnego rodzaju, oraz *kefiru* i *kumysu*. Piękna zaś okolica uprzyjemnia pobyt zarówno chorym jak zdrowym, którzyby tu przybyć chcieli dla letniego wypoczynku.

RYBA-MŁOT.

Widzimy na naszej rycinie dużą, wspaniałą rybę, której głowa zupełnie przypomina formę młota. Ryba ta wydaje nam się jakimś dziwnym figlem przyrody, która, jakby w świecie rzeczy ręką ludzką zrobionych, szukając wzoru dla swoich tworów, upodobniła głowę wielkiego morskiego potwora do ludzkiego narzędzia, którego nazwą go w skutek tego mianują. Pomimo pochodzenia z rodziny żarłocznych rekinów, młot nie jest tak niebezpieczny, jak na to wygląda, rzadko się zdarza by na ludzi napadał.

Najczęściej przebywa w głębokości morza, w miejscach błotnistych, pełnych szlamu i tam się żywi. W ludzkiej rybakim krąży jednak podanie, że gdy uda się któremu z młotów zakosztować ludzkiego ciała, smaku jego później zapomnieć nie jest wstanie i uparcie z niezmordowaną żarłocznością, resztę życia wypełnia gonitwą za tym przysnakiem. Przekonanie to wystarcza żeglarzom do usprawiedliwienia się z zapału z jakim wyszukują i tępią niewinne stworzenia. Połów na młoty odbywa się w ten sposób: Gdy marynarze jakimkolwiek sposobem odkryją ślady bytności młota, wtedy na długim sznurze, przymocowanym do mocnej belki, zapuszczają na przynętę kawałek słoniny lub soczystego świeżego mięsa, przyczepionego do haczyka od wędkii. Wkrótce potężne szarpnięcie zdradza, że żarłok połknął przynętę wraz ze zdradziecko ukrytym w niej haczykiem. Chwila ta wymaga dużo sił w rękach, gdyż od 10 do 14 stóp długi potwór, czując iż chodzi tu o jego życie, robi najrozpaczliwsze wysilenia, by umknąć daleko i głęboko. Ale mu się to wcale nie udaje, gdyż dobry marynarz nie wypuści lekkomyślnie raz trzymanej zdobyczy. Wkrótce też potężne hura! ze wszystkich piersi wydobyte, ogłoszą tryumf i radość, iż udało się wydrzeć potężnemu wodnemu żywiołowi jednego z większych jego mieszkańców. Ten zaś rozjątrzony krzykami podwaja usiłowania i wściekle wokoło trzepie ogonem. Biada nieuważnemu, którego uderzenie zmiecie z pomostu, już nie on będzie tryumfował!

Uważni marynarze nie prędjéj zdobycz swą wciągają na okręt, aż życie w niej zgaśnie, a chwilę tę starają się przyspieszyć licznymi strzałami.

Otóż i leży już olbrzym na pokładzie bez ruchu, spokojnie Trzej lub cztery majtkowie z załogi ostrymi nożami biorą się do ściągania skóry, zaczynając od uszów, o skórę tu głównie chodzi, bo wyrabiają z niej tak zwaną *peau de chagrin*, mającą obszerne zastosowanie w galanteryjnym przemyśle. Mięso nie jest jadalne, ma smak niemiły i jest żyłowate; wytapiają z niego tran. A zatem nie mogą marynarze odpłacać

młotem pięknym za nadobne i z równym smakiem spożywać ich mięso jakby one może ludzkie ciało pożarły.

Właściwą ojczyzną młota jest morze Śródziemne, choć często spotyka się go i w północnem. Oryginalna forma głowy pochodzi od bocznego wyęcia czaszki, a szczególniejsi kości i chrząstek ocznych.

A. Z.

W dziewiczych lasach Ameryki.

(Dalszy ciąg).

Z niemniejszą ciekawością przyglądały jej się małe siostrzyczki: Inez i Marita. Zgrabniutki, delikatne blondyneczki, jak wiewiórki ruchliwe i zwinne, tak były podobne do siebie, że rozróżniano je tylko po barwie oczu: Inez miała szczerze szafirowe, po przodkach ojca odziedziczone, modre jak świeżo rozkwitły bławatek, Marita z pod ciemniejszej trochę rzęsy patrzyła błyszczącą, czarną jak węgiel żreńnicą, której kolor, wyraz i ogień przypominały pani Valmès utraconą jedynaczkę. Pieszczone przez dziadka i babkę, ubóstwiane przez służbę domową, nie czuły swego sieroctwa, a niemowlętami zabrane z domu rodzicielskiego ośmioletnie już blisko dziewczynki nie pamiętały ani ojca, ani starszego rodzeństwa i napatrzyć się nie mogły Luci, która imponowała im wzrostem, złocistymi warkoczami i tytułem starszej siostry.

Nieobecność starszego brata nie zdziwiła wcale ani dziewczynki, ani dziadka jakby to przypuszczać można, bo p. Valmès, któremu don Leon doniósł z Vera-Cruz o porwaniu Józia i wszystkim co z tym wypadkiem było w związku, ukrył prawdę przed żoną, aby jej zmartwienia oszczędzić. Pani Valmès trwała więc w przekonaniu, że zięć pozostał jeszcze w Guatemali z powodu interesów i Józia przy sobie zatrzymał, ale że niedługo przybędą obaj do Guyany i spokojnie oczekując tej chwili, całym sercem używała radości, jaką jej sprawiał widok Luci.

I ona też ze swojej strony nie mogła się nacieszyć rodziną, pieszczotami, jakimi ją obsypywano oraz wszystkim, co ją otaczało, a zupełnie było odmienne od miejsc, ludzi i przedmiotów, znanych jej od dzieciństwa.

Od przystani w głąb posiadłości nazwanej *Mon-Avoir* przez pierwszego jej właściciela, pradziadka Luci, wiodła przepyszna aleja bananów, które mimo wzrostu i rozłożystości swojej nie są bynajmniej drzewem.

— Na Północy byłyby zieleń poprostu — mawiał o nich p. Tadeusz i miał rację, bo trawiasta łodyga banana usycha w drugim roku życia rośliny, po wydaniu owocu, stanowiącego podstawę pożywienia krajowców.

Na końcu alei widać było rozległy trawnik, coś nakształt niezwykłych rozmiarów łąki, usianej kępami drzew, a z poza nich przeglądała złocista strzecha, służąca za dach domu mieszkalnego.

Niech jednak nazwa *domu* nikomu nie przywodzi na myśl ciężkiej, ze wszech stron zamkniętej budowli, która w Europie nosi „domu” nazwisko. Trudno sobie wyobrazić coś lżejszego, dostępniejszego światłu i powietrzu, jak ten dom służący za schronienie mieszkańcom stref podrównikowych! Ani drzwi, ani okien, ani nawet ścian nie posiadając żadnych, składał się tylko z dachu, poszytego liśćmi złotymi, jak najpiękniej dojrzała pszenica, a posiadającymi przy tem i tę zaletę, że zarówno są nieprzemakalne dla ulewnych deszczów jak i nie przepuszczające ognistych żarów tamtejszego słońca. Dach ten podtrzymywały liczne słupy, w równych odstępach powbijane w ziemię, nad którą, na wysokości metra przeszło wznosi się podłoga, ułożona na kilkunastu rzędach przygotowanych w czworobok, grubych pni starodrzewu, a pokryta podłogą drugą ze ślicznego miejscowego drzewa, po którego lśniących, ciemno-orzechowego koloru deskach przewijają się żółte żyłki, jak bursztyn przezroczyste, jak emalia połyskujące.

Słupy zastępują tu ściany; komu za wiele słońca i powietrza, ten może przestrzeń pomiędzy jednym słupem a drugim wypełnić cienutką matą, nieprzemakalną, wydającą aromatyczny zapach, a urządzoną nakształt rolety lub markizy o bardzo spadzistym dachu i nisko opuszczonych festonach. Takie same maty, spuszczone i podnoszone jak rolety, dzielą czworobok na mniejsze i większe pokoje, umeblowane po europejsku, z elegancją i wygodą, nic nie pozostawiającą do życzenia. Na słupy, służące za punkt oparcia matom, które zastępują przegrody ścienne, powybierano najpiękniejsze, najkosztowniejsze gatunki drzew, w które obfitują lasy Guyany; umiejętnie obrobione i powleczone przezroczystym pokostem; który im zostawia naturalną ich barwę, mogłyby służyć i za wystawę roślinnych skarbów, jakie posiada Ameryka południowa. Tu i owdzie pomiędzy słupami bujają się hawaki z tkaniny miejscowego wyrobu, lub z sieci z palmowego łyka plecionej, jak jedwab połyskującej i miękkiej, a w samym środku przestrzeni dachem pokrytej zgrabny namiot z cienutkich, przewiewnych mat, w których pleceni celują Indyanki, stanowi pokój w całym mieszkaniu najzaczisniejszy, przeznaczony zazwyczaj dla pani tego domu, tak niepodobnego do wszystkich znanych nam domów mieszkalnych.

Tuż obok swego namiotu zawiesić kazała p. Valmès hawaki dla miss Oliwii i Luci, ale miss Oliwia, wierna angielskim swoim pojęciom o wygodzie, prosiła, by jej posłano na łóżku. Uczyniono zadość jej życzeniu, ale łóżko na którym z przyjemnością spoczęła po kąpeli, składało się nie tak jak u nas z desek lub pasów zasłanych materacami, lecz z maty rozpiętej na ramie, która to rama na mocnych sznurach zawieszona była u sufitu, a raczej u belki, stanowiącej poprzeczną podporę dachu. W takiój to sypialni i na takim posłaniu usnęły nauczycielka i uczennica z błogiem przeświadczeniem, że stanęły wreszcie u celu podróży.

Z tą samą przyjemną myślą zasypiali też, każde w inną części domu, don Leon i Juana, bo wszyscy czuli że krewni, czy nie krewni, serdeczne znaleźli przyjęcie pod złotą strzechą *Mon-Avoir*.

II.

Nowe życie. — List od ojca. — Zgorszenie miss Oliwii. — Don Leon staruszką. — Niebezpieczne sąsiedztwo. — Napad. — Terytorium sporne. — Wyrok „białego pana”. — Zbieranie kauczuku. — Wyspa wygnania.

Zaczęło się więc dla Luci nowe życie w warunkach tak sprzyjających, że dziewczynka mogła się czuć zupełnie szczęśliwą i czuła by się nią bezwątpienia, gdyby nie tęsknota i niepokój, miotające biednem jej serduszką. Dziadkowie nie mogli się nacieszyć wnuczką, którą zostawili małym dzieckiem a teraz odzyskiwali prawie dorosłą, śliczną i miłą panienką, miss Oliwia zaczynała ją coraz wyraźniej traktować nie jako uczennicę, lecz jako towarzyszkę i nie pokrywała już udaną obojętnością przywiązania, jakie czuła do swej wychowanki, służbę od razu zjednała sobie Lucia słodyczą obejścia, i w nowem otoczeniu czuła się panią serc wszystkich.

Babka powierzyła jej część czynności domowych, miss Oliwia przeznaczyła jej kilka godzin na pracę naukową, dużo czasu poświęcała dziewczynkom, nie miała więc ani chwili wolnej, w ciągłym była ruchu, ciągle zajęta, a mimo to ileż razy wdychała biedaczka na myśl, że w tej samej może chwili brat, ojciec narażeni są na jak największe niebezpieczeństwa, że ich może nie ujrzy więcej...

— Co ci to, Luciu? — pytała nieraz babka, spostrzegłszy w oczach paniuki coś, co wyglądało na łzę gwałtem powstrzymany — smutna jesteś? — Za Flores tęsknić musisz?

— Nie, babciu! — z całą szczerością odpowiadała Lucia, całując ręce staruszki — nie zostawiłam we Flores nikogo.

Prawda brzmiała w jej głosie i babka składając owe chwile niewytłómaczonego dla niej smutku na karb jednego

z tych kapryśków przelotnych, którym tak często poddają się panienki, nie przywiązywała zbyt wielkiej wagi do usposobienia Luci.

Płynął tak dzień po dniu miło, spokojnie, cicho, upłynęło i parę tygodni, aż wreszcie Lucia coraz to żywiej zaniepokojona brakiem wieści od ojca, otrzymała list upragniony.

„Bądź spokojną, *nina mia* — pisał p. Walery do córki — jesteśmy na tropie Józia i wszystko pozwala przypuszczać, że złoczyńcy wpadną w nasze ręce. Ściga ich w puszczycy cały oddział żandarmeryi, któremu służą za przewodników Indyjanie obeznani ze wszystkimi śladami leśnego bezdroża, z każdym przesmykiem téj gęstwiny, wśród której zginąć by nam bez nich przyszło. Ma się rozumieć, że p. Tadeusz i ja towarzyszymy żandarmom... Od dziesięciu dni nie zsiadamy prawie z koni. Zdaje się, że mamy do czynienia z bardzo sprytnie uorganizowaną szajką opryszków, którzy po różnych *fondach* rozrzuconych nad gościńcem królewskim, mają stanowiska swoje i współników... Jeżeli nam się uda schwytać którego, mam nadzieję, że ptaszek dopomoże do wyszukania reszty i że ująwszy go, staniemy się panami położenia. Nie masz pojęcia, jak użytecznym w naszych poszukiwaniach okazuje się Morill. Zawszem go miał za psa niezwykle mądrego, a być może że ciągle rozmowy, jakie z nim wiódł Józio, rozwinięły wrodzoną mu inteligencyą, ale dzisiaj zdaje się doprawdy odgadywać myśli nasze i zamiary. Czasami, gdy znużony, zniechęcony bezowocnością całodziennych poszukiwań, spojrzę na niego i spotkam wymowne, bystre, pełne współczucia jego spojrzenie, to mi na myśl przychodzi, że lepiejbyśmy może zrobili, jemu powierzając kierunek wyprawy. Poczciwe psisko wygląda tak, jakby wiedziało więcej, niż wypowiedzieć może i okazać, a daleko więcej, niż wiemy i my i żandarmi i Indyjanie. Tadeusz na seryo mi radzi, aby zdać się na instynkt Morilla i z kilkoma zbrojnymi krajowcami wypróbować wierności puścić się w głąb lasów z psem za jednegogo przewodnika, ale cóżby na to powiedzieli żandarmi, którzy nam służą tak wiernie i gorliwie i zdają się być pewni, że celu dopną? Bądź co bądź, jesteśmy dobrej myśli, wiemy już bowiem z pewnością, że *patrizios* umyślnie się drożą z oddaniem wprowadzonych przez siebie jeńców, aby wyczerpać cierpliwość ich rodzin, zmusić je do zrzeczenia się pomocy władz miejscowych i wymódz większy okup. Uważałbym jednakże za lekceważenie praw wszelkich aby z łotrami takimi wchodzić w jakiegokolwiek układy. Odbiorę im Józia i oddam ich w ręce władzy, aby z nimi postąpiono według całej surowości prawa...
(d. c. n.)

Odpowiedź na pytanie z N-ru 32-go.

Przyciąganie ziemi jest tak silne, że niweczy skutki przyciągania wzajemnego wszystkich ciał znajdujących się na jej powierzchni.

Ciała te przytem chcąc zbliżyć się do siebie musiałyby

Prenumeratorom kwartalnym przypominamy odnowienie prenumeraty, dla uniknienia zwłoki w przesyłce Pisma.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rs. 4, na prowincyi w kraju i zagranicą rs. 5 — stosownie do téj ceny półroczna i kwartalna.

Biuro Redakcyi, ulica Mazowiecka Nr. 10 nowy.

TREŚĆ: Doświadczenie fizyczne (z drzew.) — Z wyspy Atlanty, wyczytała przez drobnowidz i przepisała Zofia Urbanowska. — Niekłań (z drzew.) — Ryba młot p. A. Z. (z drzew.) — W dziewiczych lasach Ameryki. — Odpowiedź na pytanie z N-ru 32-go. — Łamigłównki i rozwiązania. **Dodatek:** I zwierzęta się uczą p. W. U. (z drzew.) — Chłopczyk i wróbelek, wiersz p. Helenę Bojarską, — Gniazdko p. Niezapominajkę. — Moje dzieci, opowiadanie jednéj mamy p. A. Do. — Łamigłównki i rozwiązania. — Skrzynka do listów. **Dodatek książkowy:** Zwalczone uprzedzenie, powieść p. Karoliny Yonge, przekład z angielskiego T. P.

zwyciężyć tarcie o podstawę swoje, oraz opór otaczającego je powietrza.

Kuropatwa z nad Ikopetiu.

SZARADA.

przez Ewę Maryę.

Pierwsze, szóste podwójnie często nam przeczy;
Pierwsze, trzecie i piąte gnębią człowieka;
Drugie, trzecie przy każdej znajdziemy rzeczy;
Piąte, szóste na pracę patrzą z daleka.

Nie w *piąte*, czwarte, lecz idź w prawo koniecznie!
W głóg, cień wchodzisz? nagroda jest *drugie, szóste*!
One kwitną i *czwarte, pierwsze* ślą wiecznie,
Tam gdzie *wszystko* zapada w cień, w głębie puste.

ŁAMIGŁÓWKA SYLABOWA.

Z następujących sylab: A—a—bab—ce—du—e—eu—frat—ku—la—le—nia—na—nam—pir—po—ra—ran—ce—rab—rant—róg—sa — ułożyć wyrazy, których znaczenie:
1. Mieszkaniec *Azyi*. 2. Nazwa części północ. Szwecyi. 3. Rzeka w Turcyi Azyatyckiej. 4. Nazwa staroświeckiej melodyi. 5. Przylądek na wybrzeżu Mozambickiem. 6. Królestwo w Indo-Chinach. 7. Bogacz indyjski. 8. Dopływ *Rođanu*. 9. Starożytna nazwa dzisiejszej Albanii. 10. Ptak z rzędu drapieżnych. Początkowe litery tych wyrazów czytane z góry na dół utworzą imię, a końcowe w tym samym kierunku nazwisko byłego księcia Bulgaryi.

ROZWIAZANIA DO N-ru 36-go.

Szarady: Nie — bo — ga.

Łamigłównki geograficznój:

1. Amsterdam. 2. Missisipi. 3. Aurillac. 4. Zgierz.
5. Osięciny. 6. Nürnberg. 7. Kuma. 8. Afganistan.

Amazonka — Miczygan.

Do nabycia: **Najlepsza Metoda języka Niemieckiego** Plato v. Reusnera kurs niższy. Wydanie VII cena kop. 60.

Ciekawa powieść **Zwycięzcy Oceanu** p. W. Umińskiego, dla prenumeratorów za rs. 1 kop. 20 z przesyłką.

WIECZORY RODZINNE.

I zwierzęta się uczą.

Możeście widzieli kiedy, jak stare ptaki uczą swe młode. Ale i wszelkie inne zwierzęta uczą się od matek różnych rzeczy, a mianowicie jak chwycić zdobycz i jak unikać niebezpieczeństwa.

Lwica na rycinie naszej wyprowadziła z legowiska swe lwiątko, aby zaprawiać je do polowania; najprzód

drapieżnych, żywi się bowiem mięsem zabitych przez siebie zwierząt; nie jest jednak tak chciwy krwi jak tygrys, który morduje swe ofiary nawet wtedy, kiedy mu głód nie dokucza. Ma on pazury silne, długi ogon, okrągłą głowę, krótkie muskularne nogi i zaokrąglone uszy; zoologowie zaliczają go do rodziny tygrysa i kota.

U nas jak wiecie, lwów niema; zamieszkują one tylko gorące kraje Afryki i Azji. Polowanie na te zwie-



Lwica i lwiątko.

rzuci się sama na jaką zdobycz, pokaże swym młodym, jak się to robi, i zadusi ją, a potem im samym każe wykonać napad na jakąś owcę lub kozę. Lwiątko rosną szybko, i niebawem skorzystawszy z udzielonych im nauk, odłączają się od rodziców i żyją własnym przemysłem, zupełnie tak jak kiedyś dzieci wyrosły, ukończywszy nauki, samodzielnie zarabiają na utrzymanie.

Lwica niema grzywy jak lew, lwiątko młode także jej nie posiadają. Lwa nazywają królem zwierząt, bo jest najodważniejszy, najzręczniejszy, najzuchwalszy i nadzwyczaj silny. Jednym uderzeniem potężnej łapy powala on na miejscu wołu lub konia; daje z zasadzki susy na piętnaście kroków, a ryczy tak głośno, że go na milę w około słychać. Lew należy do rzędu

zwierząt jest bardzo niebezpieczne; lew nie obawia się człowieka i zaczepiony walczy zawzięcie, rzucając się na cały zastęp strzelców. Trzeba go zabić odrazu, inaczey myśliwi narażeni są na wielkie niebezpieczeństwo, gdyż ranny lew wpada w straszną wściekłość.

Arabowie prześladowają króla pustyni, bo porywa im kozy, krowy i inne domowe zwierzęta. Odważni Europejczycy zaś polują na niego dla przyjemności, lew też może zniknąć niebawem z powierzchni ziemi, jak żubr u nas. Zapewne przypatrywaliście mu się w ogrodzie zoologicznym.

W. U.

CHŁOPCZYK I WRÓBELEK.

— Powiedz mi wróbelku, kochana ptaszyno,
Co pocziesz gdy u nas dni ciepłe przeminą
Gdy zima nadejdzie, mróz będzie na dworze,
To zginiesz, biedaku!

— O! ja się nie trwożę.

Bóg czuwa nad światem o każdej godzinie,
Kto tylko Mu ufa z pewnością nie zginie.

— Lecz ptaszku, gdzie znajdziesz ziarneczka i muszki?

— Gdy tego nie stanie, to będą okruszki;

Rzucą mi dziateczki, pomyślą poczciwie

Bym głodu nie doznał i tak się pożywię.

— I do mnie, wróbelku, przylatuj czasami,

I ja też mam litość nad wami, ptaszkami,

Wyrzeczę chłopczyna.

— A ptaszek odpowie: ~

— Tyś dobry chłopczyku, niech ci Bóg da zdrowie.

Helena Bojarska.

GNIAZDKO.

— Co ja znalazłem, co ja znalazłem! — wołał Józiek,
wiejski chłopak, skacząc w około krzaku.

— Gniazdo pewnie znalazł, chodźmy, może już są
młode — rzekł z radością drugi chłopak, Stasiak, do
kilku towarzyszy i razem z nim pobiegł do Józka — po-
każ prędko co znalazł — krzyknął spoglądając między
gałęzie.

— Patrzcie jakie śliczne małe ptaszki — odrzekł
Józek i pokazał towarzyszom gniazdko w samym środku
krzaku.

— Aha! jak to ja zgadłem co znalazł! — zawołał Sta-
siek — już spore ptaszki, można będzie je wybrać
z gniazdką.

— Czekaj, ja je tu zaraz powyciągam, tylko odsuń-
cie się, bo wystraszyte ptaki i później nie będę ich
mógł znaleźć — rzekł najstarszy z chłopców, i począł
rozsuwać gałęzie, już wyciągał rękę, żeby złapać maleń-
kie ptaszyny, gdy naraz jakiś dziecinny głosik zawołał:

— Ach! chłopcze co robisz! — i drobna jakaś rączka
schwyciła wyciągniętą rękę chłopaka.

Wszyscy chłopcy zadrżeli, a spojrzawszy w stronę
skąd głosik pochodził, roześmieli się ze swęj obawy,
między gałęziami stała bowiem ośmioletnia Reginka,
córka ekonoma.

— A ty pociś nam tu przysła przeszkadzać —
krzyknął rozniewany chłopak i odepchnął niegrzecznie
Reginkę.

— Ja nie pozwolę wybierać ptaszków, bo to grzech
— rzekła dziewczynka, zastaniając gniazdko.

— Nie pozwolisz, doprawdy? — zawołał pogardliwie
Stasiak — my właśnie będziemy ci się pytać o pozwolenie.
Złapiemy za ramię i wyrzucimy z krzaku, z taką
małą dziewczyną jeszcze się spierać!

— Nie róbcie tego chłopcy — mówiła ze łzami
Reginka — ach! czemuż ja nie jestem chłopcem, silnym
tak jak wy, wtedy łatwiej mogłabym obronić te małe

ptaszyny; ale chociaż jestem dziewczyną i młodszą od
was, jednak nie boję się waszych pogrozek... Ja wiem, że
i wy macie litość w sercach dla biednych małych isto-
tek, wiem, że sami odejdziecie stąd, zostawiając ptaszki
w gniazdku...

— Nie zostawimy ptaszków — krzyknął Józiek —
nie przeszkadzaj lepij.

— O! Józku nie mów tego, ja wiem, żeś ty nie taki
zły. Posłuchaj lepij mnie i osądźcie chłopcy, czy źle
radzę. Te maleńkie ptaszki mają matkę, która niemało
się namęczyła nad budowaniem tego gniazdeczka... wy-
obraźcie sobie jak musiała się mordować znosząc naj-
mniejszą słomkę do tego krzaku i zlepiając mocno, żeby
jój domek był trwały, później jak długo musiała siedzieć
na jajkach, następnie żywić swoje małe ptaszki. Wiercie
mi, że ona je tak samo kocha, jak was matki wasze. I nie
żał byłoby wam odbierać téj matce całą jój pracę,
wszystko co ukochała najwięcej? Spójrzycie tylko w gó-
rę, nad waszemi głowami fruwa szara ptaszyna... Jak ża-
łośnie piszczy biedaczka, wie ona dobrze w jakim zamię-
rze zebraliście się przy jój gniazdku, za słaba jest, żeby
przemocą bronić swe dzieci, więc tem piszczeniem was
błaga o litość, zdaje jój się, że ją rozumiecie. Pro-
szę was chłopcy, oddalcie się ze mną od gniazdką,
a większą przyjemność mieć będziecie patrząc na radość
téj ptaszyny, niż z posiadania jój biednych dzieci.

Chłopcy zamyśleni słuchali słów dziewczynki, wre-
szcie spojrzeli na fruującą z piskiem ptaszynę i w mil-
czeniu odeszli, za nimi postępowała uradowana Re-
ginka. Chociaż słabsza i mniejsza od nich jednak, od-
niosła zwycięstwo, obroniła gniazdko z ptaszkami.

— Posłuchajcie, jak radośnie teraz piszczą małe
ptaszki ze swoją matką — zawołała wreszcie, a chłopcy
przystanęli wsłuchując się w wesoły świergot, twarze
im się rozjaśniły potrochu, w sercach czuli jakąś błogość
niewypowiedzianą, nakoniec schwycili Reginkę i pod-
nieśli do góry, krzycząc głośno: „Wiwat! Reginka,
obronicielka ptasząt! Wiwat!...“

Niezapominajka.

MOJE DZIECI,

OPOWIADANIE JEDNEJ MAMY

p. **A. Do.**

(Dalszy ciąg).

— Co jest, niewiem, ale wiem czyj koszyk, bo wi-
działem Stefanową kowalkę, jak weszła do kuchni, a ko-
szyk ostrożnie postawiła na ziemi i rącznikiem przykryła.
Możemy zajrzeć.

— E... ja się boję... może tam są raki!

— Ale gdzie tam! Rakiby się już dawno rozlaży;
prędzej może kurczątką, albo jaka jarzyna. Podnieś
rącznik.

— Boję się... podnieś ty.

— Helenko! Dziecko maleńkie!

— Co? w koszyku dziecko?

— A jakże. Ach Boże! Co to za szkoda że to nie
nasze; takbyśmy się dobrze bawili...

— Wielka rzecz... może być nasze. Ja byłem wczoraj u kowala z Marcinem i słyszałem jak Stefanowa narzekała... „oj Boże, Boże z temi dzieciskami” (coś ośmioro ich ma, czy dziesięciuro). Może nawet będzie kontenta, jak się jęć choć jedno gdzie zapodzieje. Weźmiemy ostrożnie koszyk, zaniemiemy gdzie w spokojne miejsce i będziemy sobie wychowywali.

— Ach dobrze! Ty będziesz tatą, ja będę mamą, mleczka w filiżance zagrzeję, łyżeczką dziecusią karmić będę; jak się koszulka zbrucze, to przedziutko na miednicy upiorę i na słońcu wysuszę; dzieciątko nam urośnie i będziemy mieli z kim się bawić.

— Ale gdzie je schowamy? Bo jakby kto zobaczył, toby nam może odebrano?

— A możeby i odebrano... potem, to co innego. Jak się ludzie przekonają, że umiemy się z dzieckiem obchodzić, to nam dadzą spokój; ale z początku, możeby kłopot był z tego.

— Wiesz co? idźmy do kuchennej sieni, tam są schody, wyniesiemy nasze dziecko na strych, tam będzie dobre schowanie. Ale ani piśnij o tem nikomu!

— Spodziewam się!

— Ani Lilusi, boby się zaraz mamy pytała o pozwolenie.

Z biciem serca dźwigając ciężki koszyk, przeszły dzieci szczęśliwie przez sień, nie spotkawszy nikogo; trudniej było ze schodami: na siły jednego, ciężar był za wielki, we dwoje zaś zmieścić się na wąskich schodach nie mogli. Jakoś nareszcie zrozumieli przecuciem prawa równowagi. Michaś szedł naprzód, trzymając kosz za kabłąk, Helenka podpierała z dołu. Już tylko trzy schodki... drzwi otwarte...

— A co wy tam robicie dzieci? — dał się słyszeć głos mamy.

— Nic, mamó — odpowiedziała Helenka, zastaniając podejrzany pakunek sukienką.

— Jakto nic? Pocóż się tak drapiecie na górę?

— Tak sobie ciociu, dla zabawki — odparł Michaś.

— A co to za koszyk?

— Ach... o koszyk ciocia pyta? To nic.

— Ale przecież?

— Nic ważnego mamusiu... to tylko dziecko.

— Jakto? Dziecko? żywe?

— A jakże.

— Zkądżeście je wzięli?

— Znaleźliśmy sobie i wzięliśmy na wychowanie.

Nie pytając dalej, mama wybiegła na schody i odebrała koszyk z rąk biednych malców, nie poczuwających się zbytecznie do winy.

— Gdzieście to znaleźli?

— Pod krzakiem przy kuchni.

— Ale niech się ciocia nie męczy, my to odniesiemy na swoje miejsce; to Stefanowej kowalki; ona ma taką masę dzieci, myśleliśmy, że jęć lżej będzie, jak weźmiemy choć jedno.

Trudno było prawić morały dwojgu dudkom, co nawet dziesięciu lat razem nie mieli; Michaś i Helenka dostali tylko krótką a węzłowatą burę, że cudzych rzeczy ruszać nie wolno, choćby to nawet była rzecz tak mała, jak dziecko paromiesięczne.

— Ot, szkoda, że twoja mama nas zobaczyła — rzekł Michaś z westchnieniem.

— Takby nam pysznie było — dodała Helenka — doprawdy... mama to taka czasem sroga; coby to mamie szkodziło, żebyśmy mieli dziecko! Jedno... malusieńkie... Mama nas ma aż czworo, a nikt jęć nie odbiera!

— Ach Boże, Boże!

I wzięwszy się znów za rączki, osieroceni rodzice powędrowali do ogrodu, gdzie, nie robiąc już tajemnicy, opowiedzieli starszemu rodzeństwu swoje zmartwienie. Wkrótce zadzwoniono na obiad, dzieci pobiegły czempredzój, żeby się nie spóźnić i na łajanie nie zasłużyć.

Przy stole, mama dużo coś mówiła po francusku, przyczem wuj Karol i wujenka do łez się śmieli, a Lili oczki spuściła na talerz, żeby nie pokazać że rozumie; Michasiowi jednak i Helence ani do głowy nie przyszło, żeby to ich przygoda tak miała bawić rodziców.

(d. n.)

ŁAMIGŁÓWKA.

ułożył Czarny gołąbek.

Z następujących sylab: che—des—dom—e—el—gi—li—jef—usz—na—nek—ni—of—pi—pio—ra—ra—ryb—rysen—te—u—wer—wi— ułożyć 8 wyrazów: 1. Figura w szachach. 2. Imię żeńskie hiszpańskie. 3. Miasto guber. 4. Następca Salmanassara. 5. Syn Helego. 6. Poeta rzymski. 7. Sędzia izraelski. 8. Tragik grecki—tak, ażeby początkowe litery utworzyły nazwę narodu, a końcowe imię jednego z jego królów.

ZADANIE KONIKOWE.

| | | |
|------|------|------|
| i | Po | dy |
| skra | czna | czas |
| ca | nu | ży |
| te | ca | pra |

ROZWIĄZANIA DO N-ru 36-go.

Szarady: Ta — ba — kier — ka.

Łamigłówni kwadratowej geograficznej:

- A. G l o m e n
- B. G r e c y a
- C. G r o d n o
- D. K a n d y a
- E. M o d e n a
- F. L o a n g o

Skrzynka do listów.

Pocziwy jest **Jaśko Warszawiak**, że sobie przypomniał o Redakcyi, która w pięknej Szczawnicy widocznie wyszła mu z pamięci! Nie dziwimy się temu; niech kochani nasi czytelnicy używają wakacyj ile mogą; wrócą potem do pracy z rześwieszonym umysłem i większym sił zapasem. Zagadkę przeznaczoną dla nas bardzo sprytnie **Jaśko** obmyślił; dla dokładności zaprowadzimy w niej małą zmianę. Wyrazy zaś łamigłówni sylabowej zmienić trzeba i dobrać inne.

Turczynka nie lubi widać utworów z których czytania odnieść może korzyść. Znamy starsze nawet i odcytane osoby, które to o czym mówimy uważają za bardzo ciekawe. Robota konkursowa zawsze „wartą będzie posłania”, bo zawsze komuś się przyda.

Kochana **Lobelia** zrozumiała prawdziwy cel konkursu, skoro nam pisze iż „będzie to dla niej prawdziwa radość, gdy pierwsza jej sukienka ubierze i ogrzeje jakąś biedną dziewczynkę”. Tak! najprawdziwsza to, najżywsza radość móżdżku użyteczną być drugim a poczuwanie się do tego obowiązku, to najlepszy probierz wartości moralnej. Dobrze jest, jak się pokazuje, iść „za radą Mamę” — prawda, **Lobelio**?

Złota Pszczółko, jeszcze są zaległości, musisz więc czekać swojej kolei; umilisz sobie czas oczekiwania, jeśli wierna pseudonimowi, znieść będziesz do ula słodkie miody... nauki. Wakacyjne twoje skończyć się już musiały?

Nie dziwimy się milczeniu **Żabki zielonej**; tłumaczą je zupełnie okoliczności domowe. „Zmiany położenia” na lepsze szczerze winszujemy. Przed Nowym Rokiem ogłosimy jeszcze konkurs i miło nam wiedzieć, że nasi czytelnicy tak się o niego upominają. Szczerze żałujemy, że niepodobna nam korzystać z miłych zaprosin; nie byłoby nam „nudno” w tym ogrodzie, po którym zapewne ciągle skaczą zwinne i figlarne *Zielone żabki*.

Niezapominajko z nad Warty, przeczytaj początek odpowiedzi udzielonej **Złotej Pszczółce**. Szaradę odebraliśmy; **Gołąbka** niedługo zapewne powróci i z radością powita „wierne” i kochane korespondentki.

Od **Ciszy wieczornej** i **K.** odebraliśmy rozwiązania. „Zwalczonego Uprzedzenia” skończy się niedługo tom pierwszy. Za obiecane robotki serdecznie dziękujemy pocziwym dziewczynkom, które czas swoich wakacyj zużytkowują na pożytek drugich.

Spełniliśmy życzenia **Zajączka**.

Jakże nam miło, **Prawdo** kochana, że rady nasze trafiły do twego przekonania. Sądzymy, że wyjdą ci na dobre, bo podyktowało je doświadczenie życia oraz szczerze uczucie życzliwości dla młodych istotek, co się z zaufaniem do nas garną. Pocziwa z ciebie *staruszka*! bez żadnej nadziei nagrody dopełniasz warunki konkursu. Bóg zapłać! powiedzieć za to należy — bo u Niego niezawodna zawsze nagroda...

Gamę C-dur i **Pokrzywę** prosimy o ułożenie innych łamigłówek, nadesłane bowiem nie nadają się do druku.

Droga Jodelko z nad Noteci! Za liścik przyjm serdeczny pocałunek. Ja jestem 9-cio letnią dziewczynką jasną blondynką, nie zbyt szczupłą i bardzo wesołą. Moja nauczycielka jedzie do Odessy, bardzo mi to przykro. Na imię mi Janinka. Pseudonym jak podpis. Czekam twego liściku i ściskam cię. *Cishe westchnienie*.

Drogi Czytelniczki Wiecz. Rodz! Dopiero kilka z was odezwało się do mnie, za co jestem im bardzo wdzięczną. Lubię bardzo nasze korespondencje i proszę niech ta z was która, lubi sprawić innym przyjemność do mnie napisze, a nie zawiedzie się. Sądzę drogie siostrzyczki, że odezwa moja przeniknie do waszych serduszek i że niedługo odbiorę od was choć kilka tak miłych dla mnie liścików. Przesyła wam uściśnienie *Złota Pszczółka*.

P. S. Tym, które jeszcze na moje liściki nie odpisały serdecznie się przypominam.

Kochana **Mała L.** i **Złota Pszczółko**! **Droga L.**, niezmiernie

się ucieszyłam przeczytawszy twój liścik, pierwszy otrzymany od czasu jak piszę do **Wieczorów**. Czy należysz do konkursu robót? Gdzie wyjeżdżałaś na lato? Ja do konkursu należę. **Złota Pszczółko**, czy jesteś tak pracowitą jak ten owad, żeś sobie taki pseudonym wybrała? Donieś mi wszystko o sobie. Ja chodzę na pensję, jestem w III klasie, mam lat 10, pięcioro rodzeństwa. Całuję cię i L. i proszę byćście i nadal raczyły ze mną korespondować, bo jeszcze raz powtarzam: wielką przyjemność sprawiły mi wasze liściki. Wasza *Sosnowa Igielka*.

Droga Niezapominajko z nad Warty! Bardzobym chciała pisywać do ciebie przez nasze kochane **Wieczory**. Mam lat 13 mieszkam na wsi, uczę się w domu, z nauk najwięcej lubię historję powszechną. Co ci się podoba najwięcej w **Wieczorach**? Mnie „**W złotą klatkę**”. Donieś mi co o sobie i przyjmij uściśnienie od kochającej cię choć nieznajomj *Czarnookiej z Podola*.

Kochana **Gołąbko z nad Warty!** Dziękuję ci serdecznie za liścik. Jestem **Zosią F.**, niedawno skończyłam lat 10. Nie mogą odgadnąć kim jesteś? donieś o tem. Przesyłam ci tysiąc całusów. Twoja **K.**

Droga Maryniu M. z Boro... Przypominam ci obietnicę dania mi swojej fotografii. Czy pamiętasz 25 maja i naszą rozmowę przy obiedzie. Dla mnie są to bardzo miłe wspomnienia. **Miła Horypno!** Dowiedziałam się ze **Skrzynki do listów**, że starannie pielęgnujesz kwiaty, ja mam to samo upodobanie. Donieś mi gdzie mieszkasz i wszystko o sobie. **Droga Kometo**, chciałabym zaznajomić się z tobą więc napisz do mnie. **Miernoto kochana**, dla czego obrałaś sobie taki pseudonym? Wiochno z pod **Liubna!** Czy mieszkasz blisko **Wronowa**? Miłe **Figlarko** i **Szczebiotko!** ściskam was i proszę piszcie o sobie do nieznajomj lecz życzliwej *Pokrzywy*.

Drogi moje Ogrodniczko, Stokrotko z nad Stochodu i **Złota pszczółko!** Ucieszyłam się bardzo waszemi liścikami. **Ogrodniczko!** nie jestem siostrą **Wiochny**, lubo mam dla niej prawdziwie siostrzane serduszko. **Stokrotko z nad Stochodu!** jeżeli pominięto mój pseudonym, to proszę cię napisz drugi list do **Figlarki**. **Złota pszczółko!** umiem się ślizgać, z nauk najlepiej lubię literaturę, proszę was **Złota pszczółko** i **Malino z nad Wisły**, żebyście mi doniosły gdzie mieszkacie w Warszawie, bo ja mieszkam o dwie mile na wsi. Napiszcie mi o co proszę, jeżeli to możliwe zjeździemy się kiedy w Warszawie w Redakcyi. **Jagódko z Arkadyi** i **Słowiczku**, kiedy przyjedziecie do B.? Odpiszcie mi, ściska was wszystkie serdecznie wraz z **Brzydtką z nad Tamizy** i **Gałązką Heliotropu, Figlarką**.

Kochana **Ciszo wieczorna!** Serdecznie ci dziękuję żeś do mnie napisała. Imię mi **Marya**, mam lat 15, mieszkam na wsi, uczę się w domu przy nauczycielce. Posyłam ci całusa, życzliwa *Galązka wrzosu*.

Kochana **Jarzębino** i **Galązko Heliotropu!** Wiem że się znacie z sobą. **Galązko**, kiedy wrócisz ze **Szwajcaryi**? Mam nadzieję, że napiszecie do mnie, a kto jestem domyślcie się z pseudonymu. *Burka sławucka*.

Kochana **Figlarko!** Dziękuję ci za prędką odpowiedź. Nazywam się **Aniela**, mam lat 11 i jedną siostrę. W zimie mieszkam w mieście, a w lecie na wsi. Donieś mi miła siostrzyczko którą z nauk najlepiej lubisz? Ściskam cię serdecznie. Kochane: **Hajduczko**, **Marzenie poety** i **Jodelko z nad Noteci!** Dziękuję wam za liściki i pozdrowienia. Donieście mi co o sobie oraz jaka powieść w **Wieczorach** najwięcej was zajmuje, bo mnie „**Królowa Szwedzka**” i „**Zwalczone Uprzedzenie**”. *Życzliwa Cisza wieczorna*.

P. S. U. z kącika proszę, aby mi odpisała.

Kochana **Wesoła Leśmierzanko!** Zdaje mi się, że cię z opowiadania **Mani Z.** poznaję. Donieś mi czy nazwisko twoje zaczyna się od litery **B.** Całując cię serdecznie czekam spiesznej odpowiedzi. *Złota Pszczółka*.